ROK VI. Chicago, dnia 20go Grudnia 1888. **No. 51**



Wychodzi raz na tydzień. Kosztuje rocznie $1.00. Dla tych co trzymają Gazetę Katolicką, wynosi przedpłata roczna tylko 50 centów. Do Europy: z Gazetą $1.00, bez Gazety $1.50. Przedpłata musi być naprzód opłacona. — Pokwitowań nie ogłasza się.

Wszelkie listy i korespondencye adresować należy: } W. Smulski, 635 Noble st. Chicago.
All comunications must be adressed: }

APROBATA.

Niniejszem udzielam aprobatę moją pismu „Dzień Święty" i zalecam takowe jak najgoręcej naszym Polakom-Katolikom.

Chicago, dn. 3go Stycznia R. P. 1883.

† P. A. FEEHAN,
Arcybiskup Chicagoski.

Entered at the post office of Chicago, Ill. as second class matter.

KALENDARZ TYGODNIOWY.

DNI:	KATOLICKI:	SŁOWIANSKI:
Czwartek, 20 grudnia.	Teofila męcz.	Bogumiła.
Piątek, 21 grudnia.	Tomasza apostoła.	Tomisław bł.
Sobota, 22 grudnia.	Zezona męcz.	Drogomir.
Niedziela, 23 grudnia.	**4 Adwent.** Wiktoryi p.	Sławomira.
Poniedziałek, 24 grudnia.	Wig. Adama i Ewy.	Godysława.
Wtorek, 25 grudnia.	Boże Narodzenie.	Grzmisława.
Sroda, 26 grudnia.	Szczepana 1. męczennika	Wróciwój.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus !

NA NIEDZIELĘ IV ADWENTOWĄ.

Ewangielia ś. Łukasza w. rozdz. III. od w. 1. do 7.

Piętnastego roku panowania Tyberyusza Cesarza, gdy Poncyusz Piłat rządził żydowską ziemią, a Heród był Tetrarchą Galilejskim, a Filip brat jego Tetrarchą Iturejskim i Trachonickiej krainy, a Lizaniasz Abileńskim Tetrarchą — za najwyższych kapłanów Annasza i Kaifasza, stało się słowo Pańskie do Jana, syna Zacharyaszowego na puszczy. I przyszedł do wszystkiej krainy Jordanu, opowiadając chrzest pokuty na odpuszczenie grzechów, jako jest napisano w księgach mów Izajasza proroka: Głos wołającego na puszczy: Gotujcie drogę Pańską, czyńcie proste ścieżki Jego. Wszelka dolina będzie napełniona, a wszelka góra i pagórek poniżon będzie i krzywe miejsca będą proste, a ostre drogami gładkiemi. I oglądać będzie wszelkie ciało zbawienie Boże.

JEDNA NOC.

OBRAZEK PRAWDZIWY Z ŻYCIA LUDU WIEJSKIEGO

Napisał Fr. Marzec.

Dokończenie.

Rozbójnicy owi zadawali jeszcze dużo pytań Walkowi, zkąd się tu wziął, po co przybył, a kiedy Walek zeznał szczerą prawdę, jako uciekł z domu, uderzywszy ojca i t. d. rzekł najstarszy rabuś:

— Do domu nie masz po co wracać, a kiedyś jest w naszych rękach, to przystań do nas, masz siłę, u nas życie przyjemne; gdybyś jednak nie chciał, to w łeb palnę!

I Walek przystał do szajki rozbójników. Dano mu potem spory kielich wódki, czem się mocno pokrzepił, a w końcu musiał przysięgać wierność i posłuszeństwo ich wodzowi. Kiedy to uczynił, rzekł mu najstarszy zbójca.

— Pamiętaj bracie, że gdybyś tę przysięgę, którąś przy tym dębie wykonał, złamał i nas zdradził, to my cię na końcu świata znajdziemy, tu przyprowadzimy, i w łeb palniemy!

I poszedł Walek z nimi w głąb lasu, a wkrótce znajdował się już przy ognisku zbójeckiem, około którego siedziało jeszcze kilku innych braci, jedząc i popijając wódkę.

Tak więc Walek został rabusiem. Nie pomyślał nigdy o domu, nie modlił się nigdy, tylko dzień i noc trudnił się z innymi braćmi rozbojem.

I długo długo prowadził takie haniebne życie, bo aż lat kilka. Twarz jego zczerniała i zarosła, cały zdziczał w owym okropnym lesie, a w wiosce jego rodzinnej wiedziano tylko, że gdzieś przepadł bez wieści.

Razu pewnego wyprawiono Walka samego na czaty daleko gdzieś w lesie. Walek poszedł na wskazane miejsce i usadowił się za krzakiem w nadziei, że kogoś pochwyci.

Długo tak leżał, wsparty na ręce, aż znużony zdrzemnął się. I śniło się Walkowi, że widział w chacie konającego ojca na łożu śmiertelnem, który ku niemu wyciągał do uścisku ręce i pożegnania; słyszał głos ojca:

— Walku, Walku przybliż się ku mnie!

Lecz Walek znowu się ocknął i czatował spokojnie.

Jednak różne myśli plątały mu się po głowie. Mimowoli porównywał w myśli dawniejsze swoje szczęśliwe i spokojne życie przy ojcu, kiedy to miał czyste sumienie i był w gronie miłych osób, a obecne tak haniebne i pełne nieprawości. Wzdrygnął się.

— A może ojciec i żyje — pomyślał poraz pierwszy — może mi przebaczy, padnę mu do nóg.... On tak dobry! Ja tu żyć nie mogę.... za swe grzechy odpokutować muszę srogo. Lecz jak uciekać? A nuż mię który ze zbójców złapie, natychmiast padnę trupem.—I zamyślił sięWalek głęboko.... Wkrótce jednak powstał, rzucił o ziemię siekierę i pistolety,i co sił starczyło pobiegł lasem w stronę zachodnią.

I uciekał znowu długo a długo.... jak gdyby go kto gonił. Minął już ów las ogromny i znalazł się w czystem polu. Odetchnął nieco swobodniej, ale podwaja kroku, i co sił starczy pędzi gdyby wiatrem.... przebiega pola i łąki, mija jakieś wioski, aby tylko stanąć co prędzej na progu rodzinnego domu.

I po długiej a długiej podróży, widzi wreszcie kościółek, w którym się modlił nieraz dawniej, widzi i zagrodę ojca. Zwolnił kroku... Obok niego przechodzą znajomi, nikt go nie poznaje, każdy obojętnem spojrzy nań okiem.

Już stanął przed chatą.... Lecz jak wstąpić w te progi? jakiś strach go przejął i zatrzymał się.... Aż tu widzi, że z ojcowskiej stajni wyprowadzają żydzi konie, krowy i inne zabierają rzeczy.

— Hej człeku! — zapytał się nieśmiało Walek — kto wam to pozwolił tak gospodarować w domu Macieja?

— Ny, co tobie galgan do temu? tu nie jest już dom żadnego Macieja Skipa — odezwał się żyd — tylko to jest moje, Maciej już umiera, a jego syn, którego już djabli wzięli i łeb mu urwali, narobił u mnie dług ogromny, to ja wszystko zasekwestrował i będzie zabrać.

Usłyszawszy to wszystko Walek, chwycił się za głowę i bez namysłu, spiesznie wszedł do sieni i chaty.

W sieni i w izbie pełno ludzi. Spojrzał bojaźliwie po wszystkich kątach, aż oto zobaczył na łożu umierającego ojca. Przecisnął się przez tłum ludzi, od nikogo nie poznany, chciał upaść na kolana przed łożem ojca i prosić o przebaczenie, ale nie miał odwagi. Stanął jak wryty. Wszyscy nań patrzą, nikt go nie poznaje. Aż oto umierający ojciec rzucił ku niemu spojrzenie, zapłonął jakiemś nadzwyczajnem uniesieniem i wskazując ręką na niego, wyrzekł przytłumionym głosem:

— Walku, Walku! ty żyjesz? ach mój Boże!.... Synu! tyś mię zabił, ale popraw się, pokutuj, a ja ci przebaczam i błogosławię.

Na te słowa rzucił się Walek ku łożu ojca i padł przed nim na kolana, lecz w jednej chwili zakrzyczał przeraźliwie:

— Ratujcie! ratujcie, moja ręka! umrę z boleści!

Jakieś zamięszanie zrobiło się w izbie. Pochwycili ludzie omdlałego Walka i zanieśli do jakiegoś domu, gdzie go położono do łóżka. A stary Skiba już nie żył.

Po dość długim czasie, wyszedł Walek z owego domu, który się szpitalem nazywał, ale wyszedł bez ręki. Złamał ją zupełnie przy łożu ojca, bo upadł nieszczęśliwie, więc mu ją odcięto. Była to właśnie ta ręka, którą się na ojca podnieść poważył. Gdzie się teraz udać, co miał czynić Walek? Do pracy nie zdolny, bo kaleka bez ręki, domu, ani gospodarstwa nie ma, bo żydzi zabrali wszystko po śmierci starego Macieja za długi, które Walek narobił, nic mu nie pozostawało, jak tylko iść o żebraczym kiju.

— Bóg jest sprawiedliwy — zawołał z głębi duszy Walek — muszę srogo odpokutować za moje grzechy, za nieuszanowanie ojca, za jego łzy, które wylewał, prosząc mnie, abym zaniechał złego życia.... a ja jeszczem się poważył tą ręką.... o Boże! Tyś sprawiedliwy!

I Walek był żebrakiem. Chodził od wioski do wioski i prosił o jałmużnę, a ludzie się litowali nad kaleką żebrakiem. Tak upłynęło dużo czasu. Walek już się zestarzał, siwizna pokryła mu głowę, nie tyle ze starości, jak raczej z boleści, zmartwienia i niewygód, jakie musiał przecierpieć.

Raz idąc Walek z pewnej wioski i niosąc sporo uzbieranej jałmużny, której mu ludzie jako nieszczęśliwemu nie skąpili, zobaczył figurę świętą przy drodze. Ponieważ Walek był już dobrym człowiekiem, więc ukląkł przed owym krzyżem i bijąc się w piersi, modlił się serdecznie.

Naraz usłyszał jakiś turkot. Obejrzy się mimowoli, a tu bryczka, na której siedziało dwóch mężczyzn porządnie ubranych, stanęła przed figurą. Jeden z tych panów zesiadł z niej, a przystępując do biednego Walka kaleki odezwał się:

— Biedny człowiecze! widzę, żeś bardzo nieszczęśliwy, po co masz się tułać po świecie? Ja jestem bogaty, dam ci utrzymanie porządne do śmierci, siadaj ze mną, zawiozę cię do swego domu. Walek mimowoli czegoś zadrżał.

— No siadaj biedaku, a te torby naładowane zdejm ze siebie i połóż z tyłu do bryczki. Choć ci to wszystko potrzebne nie będzie, bo tego już nie skostujesz nigdy, ale nie można przecież bożego daru rzucić. Ja ci już przyszłość szczęśliwą zapewnię.

Walek nic nie odpowiedziawszy, wsiadł do bryczki.

Snać daleko gdzieś mieszkali owi panowie, z którymi jechał Walek, bo mijali wioskę za wioską, a jeszcze nie byli na miejscu. Jadą i jadą gdzieś nieustannie, a Walek czegoś okropnie zaturbowany, jak gdyby na śmierć się gotował. Caluteńką drogę nic do niego nie mówili panowie, tylko jechali dalej a dalej.

Aż oto przybyli do owego lasu, gdzie to Walek przysięgał wierność zbójeckiemu hersztowi.

— Złaź nędzniku! — zawrzeszczał teraz jeden z tych panów.

Trupia bladość pokryła oblicze Walka. Poznał teraz, że to są ci sami rozbójnicy, co go owego czasu, kiedy to z domu uciekał, tu pod tym dębem złapali.

— Łotrze, nędzniku, pamiętasz, że my ci powiedzieli: gdy nas zdradzisz, my cię na końcu świata znajdziemy, tu przyprowadzimy i w łeb palniemy!

Uczuł biedny żebrak, że już ostatnia dla niego wybiła godzina, złożył ręce i na śmierć się gotował.

— Zdrajco! — zakrzyczał znowu zbójca — my cię pozostawili na straży, a tyś nas oszukał, naprowadziłeś na nas nieprzyjaciół, którzy wszystkich wychwytali, my tylko obaj uciekli i od tego czasu szukamy cię do dziś dnia, lecz koniec szukania, stawaj prosto, połkniesz od razu dwie kule. I wymierzyli pistolety ku głowie nieszczęśliwego Walka.

W tem błysło, zagrzmiało okropnie, a piorun palnął w ów dąb stuletni, roztrzaskał go na drobne części i trupem położył owych dwóch zbójców. Walek upadł również na ziemię z przestrachu i osłabienia, ale był nieuszkodzony.

Westchnął żebrak do Boga za cudowne ocalenie i chciał powstać, gdy w tem zjawiło się przed nim kilku żandarmów.

— Mamy was rabusie! — zawołał jeden żandarm — długośmy was szukali! Twoich dwóch braci już Bóg ukarał piorunem, że nie powstaną aż na sąd ostateczny, ale ty wstań pójdziesz z nami do rąk sprawiedliwości!

Walek już nic nie odpowiedział z braku sił i przytomności.

— Wstań, już czas, byś poszedł na resztę twego nędznego życia do ciemnego więzienia. Wstań już czas!

. . . .

— Już czas Walku, wstawajże, czyś słaby? — mówi troskliwy Maciej do syna, budząc go na drugi dzień z rana.

Walek się ocknął, patrzy.... nie pojmuje co się z nim dzieje.... widzi ojca, widzi że on w domu leży na łóżku, a nie w żadnym lesie.

— Boże! co się ze mną dzieje. Tatuniu drogi, kochany, toż to był wszystko sen tylko.... ja tutaj? Ach Boże, mój Boże!

I powstał z łóżka Walek, rzucił się na kolana przed ojcem i całował jego stopy, a łzy radości i poprawy padały na ziemię razem ze łzami szczęśliwego Macieja.

* * *

Patrzcie! co za dziwne zrządzenie Boże!

Prośbę, którą strapiony ojciec wczoraj wieczorem do Boga o poprawę syna zaniósł, wysłuchał Bóg i dopuścił taki sen na Walka. Sen ów wskazał Walkowi dokładnie, jakie

następstwa i skutki może pociągnąć złe życie, do czego to może doprowadzić pijaństwo i inne zdrożności. Więc też Walek podziękował Bogu za ową zbawienną przestrogę, poszedł do kościoła natychmiast, z grzechów się oczyścił. Życia, jakie do tego czasu prowadził, zupełnie zaniechał; na karczmę nigdy nie spojrzał i stał się zacnym i bardzo uczciwym człowiekiem.

Dziś Walenty Skiba jest bardzo zamożnym gospodarzem, a że się czytać i pisać nauczył i gmina szanuje go jako godnego i mądrego człowieka, to choć jeszcze młody, obrano go wójtem. Jeszcze i inny urząd piastuje nasz szanowny Walenty, bo kiedy w tej wiosce wybudowano szkołę i księdza proboszcza mianowano przewodniczącym rady szkolnej miejscowej, wszyscy jednogłośnie obrali na pierwszego członka tej rady naszego zacnego Walka.

Historya o Rzymskich Papieżach.

Ciąg dalszy.

Zwrócimy teraz nasze oczy na kacerstwo Ariusa, które zaczepiało prawdy fundamentalne całego chrześciaństwa t. j. naukę o bóstwie Chrystusa. Wskutek tego kacerstwa powstało wielkie złe w kościele, większe jak wszystkie krwawe prześladowania, które wstrząsnęło całem Kościołem i z którego wyrodziły się inne kacerstwa. Sekta Donatystów tylko rozciągała się na Afrykę, sekta zaś Ariusa na cały Kościół i była najniebezpieczniejszym wrogiem, którego kościół katolicki kiedykolwiek miał. Za staraniem papieży i innych uczonych mężów kacerstwo to za pomocą Pana Boga zostało zwyciężone po uciążliwej walce a nauka o bóstwie Jezusa tem więcej się w sercach ludzkich wzmocniła. Arius, który to kacerstwo zaprowadził i o którem już dawniej mówiliśmy, pochodził z prowincyi Libyi w Afryce, był bardzo uczonym człowiekiem. Sty biskup Piotr z Aleksandryi wyświęcił go na dyakona a później został kapłanem. Gdy w r. 313 św. Alexander został biskupem Alexandryi, Arius bardzo się rozgniewał, że on sam na to stanowisko wywyższonym nie

został i starał się przeto z czystej nienawiści oczerniać biskupa Aleksandryjskiego. Nie mogąc nic nagannego powiedzieć o obyczajach Aleksandra, starał się się go posądzać o herezyą. Gdy przy sposobności biskup w jego i innych kapłanów obecności mówił o jednościTrójcy Przenajświętszej, zrobił mu Arius zarzut, iż fałszywą naukę głosi. A jednak Aleksander tylko to mówił, co kościół katolicki o tej wzniosłej tajemnicy Trójcy Przenajśw. naucza aż do dzisiejszego dnia. Powiedział albowiem, że syn Boży jest równy Ojcu i jednej natury z nim i od wieków zrodzony. Arius na swoim rozumie tylko się opierając twierdził, iż Syn Boży miał początek i że z niczego przez wolę Ojca został stworzonym. Z tego wynikła bluźniercza nauka, że Syn Boży jest stworzeniem, iż jest poddany grzechowi i zmianie i że jego przymioty są ograniczone. Tę naukę Arius przed całym ludem głosił. Biskup Aleksander wszelkich łagodnych użył środków, aby Ariusa od błędu tego odwrócić, zbijał jego błędy mówiąc: jaki to nierozsądek twierdzić, że Bóg Ojciec kiedyś nie był Bogiem Ojcem i że Syn Boży, którego Pismo św. nazywa mądrością Boga, nie istniał. Przytoczył także to słowo Pana Jezusa: „Ja i Ojciec jedno jesteśmy.“ Ale gdy Arius uporczywie trwał przy swoim błędzie i wiele znalazł zwolenników, wtenczas Aleksander zwołał konsylium do Aleksandryi, na które się zjechało około 100 biskupów z Egiptu i z Libyi, na którem nauka Ariusa została potępioną a on sam pozbawionym został biskupstwa i z Kościoła wykluczonym. Teraz opuścił Arius Aleksandryę i Egipt, aby szukać przytułku i opieki u biskupów w Palestynie. Tam niektórzy biskupi, pomiędzy którymi był także Euzebiusz zNikomedyi, przystąpili do nauki Ariusa. Ci kacerze nawet te słowa „Chwała Ojcu i Synowi i Duchowi świętemu“ w ten sposób tłumaczyli: Chwała niechaj będzie Ojcu przez Syna w Duchu św. Ta fałszywa nauka Ariusa prędko się rozpowszechniła w świecie natenczas znanym.

Podczas kiedy nauka kacerska Ariusa na Wschodzie coraz więcej się rozpowszechniała, Konstantyn gorliwie opiekował się kościołem katolickim. Kazał zniszczyć wiele

pogańskich kościołów, mianowicie takie, w których w niemoralny sposób cześć bożkom oddawano. Do budowy kościołów katolickich hojnie dopomagał. Biskupów tak uposażył, aby oni mogli hojnie jałmużny między ubogich rozdzielać i ubodzy pogańscy nie byli wykluczani od tej jałmużny, albowiem Konstantyn zupełnie działał w duchu kościoła katolickiego przez to, że gwałtem nie niszczył pogaństwa. Między różnemi prawami, które Konstantyn ogłosił, było i to, które brało pod opiekę dzieci bez przytułku, które wedle tego prawa na koszt państwa zostały żywione i w katolickiej religii wychowywane. Karę krzyżowania, która była zwyczajną karą na zbrodniarzy, Konstantyn zupełnie zniósł. I niedługo duch kościoła katolickiego przeniknął wszystkie stosunki ludzkie w prywatnem i publicznem życiu.

Podczas kiedy w państwie Konstantyna kościół katolicki pięknie się rozwijał, Liciniusz na Wschodzie odpadł od chrześciaństwa, zaczął prześladować chrześcian, zamykał kościoły chrześciańskie, więził biskupów i trwoga powstała między chrześcianami. Ale wkrótce w r. 323 przyszło do wojny między Konstantynem a Liciniuszem. 3go Maja tegoż roku przyszło do bitwy między dwoma wojskami przy Adryanopolu, w której Konstantyn zwyciężył Liciniusza położywszy na polu bitwy 33.000 żołnierzy Liciniusza. Liciniusz uciekł z resztą wojska do Byzancyum, ale Konstantyn i z tego miasta go wypędził. Liciniusz jednak zebrał napowrót 130.000 wojska, które Konstantyn 18go września także zwyciężył w bitwie pod Chryzopolis a zwycięztwo to było tak stanowcze, iż Liciniusz był zmuszonym uciec do Nikomedyi, gdzie się poddał Konstantemu i purpurę cesarską u nóg jego złożył. W krótce potem skazał Konstantyn Liciniusza na śmierć. W ten sposób Konstantyn stał się panem całego państwa rzymskiego i przyjął chrzest św.

Pierwszy kościół, który Konstantyn wybudował, dla wielkiego bogactwa był nazywanym złotą bazyliką, który też był pierwszym kościołem katedralnym papieża i do dziś dnia tę godność zatrzymał. Kościół ten dziś wprawdzie nie istnieje, ale dziś istniejący na tem miejscu zbudowany kościół la-

teraneński posiada tę samą godność i jeszcze dzisiaj jest na nim napis: „Matka i głowa wszystkich kościołów miasta i całej ziemi.“ Potem Konstantyn wybudował kościół na pagórku watykańskim nad grobem apostoła Piotra św., a uczynił to na prośbę papieża Sylwestra. Wielki cesarz Konstantyn sam zaczął kopać fundamenta a potem na swoich ramionach 12 koszy ziemi wyniósł na cześć 12stu Apostołów. Kościół ten poczęści stał jeszcze na początku 16go wieku, gdy Juliusz papież kazał go przebudować tak jak dzisiejszy kościół św. Piotra. Także nad grobem św. Pawła Konstantyn wybudował kościół na prośbę papieża Sylwestra, wogóle było to dla niego największem szczęściem piękne budować kościoły katolickie, aby tryumf kościoła coraz bardziej uwydatnić. C. d. n.

Mniemany żebrak.

POWIEŚĆ Z FRANCUSKIEGO.

Ciąg dalszy.

Oczekiwanie to ją nie zawiodło. Zjawiła się bowiem niebawem dziewczynka mniej więcej jej wieku, nędznie ubrana, lecz żwawa i sprytna, która pędziła przed sobą schudzoną krówkę. Na jej widok Kasienka co prędzej złożyła robotę i wybiegła naprzeciw towarzyszce.

— Czy teraz zostać możesz, Antko? — zapytała.

— Przychodzę już na cały dzień, zabrałam nawet z sobą obiad. I wyjęła z kieszeni kawał razowego chleba, oraz dwa twarde jaja. — Złoż to w mój koszyczek, a na południe się podzielimy. Oczy Antki zabłysły radością. Wiedziała bowiem, iż Jakóbowa dobrze wypełniała koszyczek sieroty, i że Kasienka chętnie towarzyszce odstępowała najlepsze kawałki.

— Jeden ci stawiam warunek, — rzekła Kasia — dasz mi baczenie na konie i bydło, podczas gdy ja pójdę szukać gniazdek, a strzedz mi będziesz dobytku jak oka w głowie.

— Nie bój się, — odpowiedziała Antka, której nadzieja lepszego obiadu dodawała pilności.

— Gdybyś zaś zdaleka ujrzała starego Niedolę, co prędzej mnie wołaj. Nie widząc mnie na pastwisku przy bydle, natychmiast na mnie by poskarżył Jakóbowej.

— I na to uważać będę.

— Koszyczek schowałam w tarkach nad strumieniem, tam więc schowaj i ty twe prowianty. Skoro tylko Antka pobiegła w oznaczną stronę, Kasienka jednym susem poskoczyła ku fosie zamkowej, i jak kłąbek skulnęła się w głąb po trawie. Zaczem jak wąż wśliznęła się w nore starego Niedoli, który rano wyszedł był jak zwykle na dziadowską pielgrzymkę. Nora ta, a raczej sklepiona piwnica, mimo wąskiego otworu, obszerne miała kształty, a robiła wrażenie przedsionka, wiodącego do dalszych podziemi. Istniało w okolicy podanie, iż niegdyś ukryty krużganek wiódł ztąd do sąsiedniego o dwa kilometry zamczyska, i że owa podziemna droga, acz w części zawalona, nie ze wszystkiem zniszczoną być miała. Nie rzadko w średnich wiekach, nawiązywano między zamkami podobne ukryte komunikacye, ażeby sobie wzajemnej w razie oblężenia udzielać pomocy. Cokolwiekbądź z nory starego Niedoli chyba już nie było można domagać się śladów dawnego krużganku, ponieważ zawalenie wyższych piętr zamku, utworzyło rodzaj ściany przegrodnej, sięgającej sklepienia, a złożonej z cegieł i kamieni w nieładzie upiętrzonych. Mimo tego stary Niedola miał jeszcze dość obszerne schronisko. Wszędzie atoli zostawił ślady brudu i niechlujstwa przywiązanego do jego osoby. Zamiast łóżka, snopek rozrzuconej słomy, znajdował się w kącie. Kulawy stół, nadłamany stołek uzupełniał sprzęty dziadowskiego mieszkania. Kociołek, w którym wyjątkowo żebrak niekiedy sporządzał sobie obiad, stał na boku, obok kilku potłuczonych garnków, i nieprzeliczonego szeregu próżnych butelek. Ale nie na to Kasienka dziś wsunęła się do nory starego Niedoli, aby tylko znaną sobie dobrze obejrzeć miejscowość. Przekonawszy się, iż wszystko po dawnemu wygląda, skoczyła na piętrzące się zwaliska w głębi piwnicy, i kamień po kamieniu uważnie badała. Rozwaga i zastanowienie, z jakiemi macała i oglądała głazy, nadawały jej we-

sołej twarzyczce szczególny jakiś wyraz rozumnej głębokości. Jasność pogodnego dzionka rozświecała do pewnego stopnia mrok jaskini. To też dziewczynka sumiennie ręką czy wzrokiem śledziła wszystkie kamienie, uderzając je żelaznym prętem, znalezionym na ziemi, i wsłuchując się, ażali nie dosłyszy jakiego odmiennego dźwięku, świadczącego o próżni znajdującej się pod spodem. Próbowała też słabemi rączętami poruszyć głazy, szukała pilnie śladu jakiej przerwy czy otworu. Daremnie! Po półgodzinnej pracy i tak sumiennego śledzenia ściany zwalisk, naznaczyła krzyżykiem miejsce, gdzie doszła w swych poszukiwaniach, i zeskoczywszy lekko, zwróciła się ku otworowi jaskini. Przekonawszy się jednak, iż nikt jej nie widzi, nawet Antka, wysunęła się z nory starego Niedoli, aby szukać wśród torniny i chwastów drugiego równoległego otworu. Otwór ten tak był zarosły cierniem, że drobne ciało dziewczynki z trudnością wśliznąć się tam zdołało. Mało który z mieszkańców wioski byłby dorównał odwadze Kasienki. Straszne to opowiadano historye o tych opustoszałych podziemiach. Twierdzono, iż były one zamieszkałe przez obmierzłe gady i płazy, węże i ropuchy, puchacze i nietoperze, które nie dawały nikomu spoczynku swego zakłucać i srodze śmiałków karały. Mówiono też, iż ziemia usuwała się pod nogami ciekawych, że bezdenne raz po raz napotkać można było studnie, zgubą niezawodną grożące. Ale Kasienka nic sobie z tych opowiadań nie robiła. Jakoż żaden nietoperz nie musnął jej twarzy, żadna ropucha nie plunęła jadem, jedynie przed nią mignęły się uciekające króliki. Skała zaś, w której wykutą była owa pieczara, żadnem nie groziła usunięciem ziemi. I tu zwaliska zamykały dalszą na wewnątrz drogę, atoli nie były tak znaczne ani spojone jak w schronisku starego Niedoli. Tu i owdzie nawet dość szerokie widniały szpary, ażeby dziecku ułatwić przejście. Te oto szpary jęła Kasienka zgłębiać za pomocą patyczka. Jedna z nich okazała się tak głęboka, że choć i patyczek i całe ramię w nią wsunęła, jeszcze żadnej nie spotkała zapory. Jęła tedy oglądać przytykające głazy. Jeden z nich odrobinę poruszył się pod sła

bym naciskiem dziecka, jak gdyby osadzony był na niestałej podstawie. Raz jeszcze całem ciałem oparła się na końcu owego głazu, który coraz silniej rozkołysany, nagle się osunął tak szybko, iż Kasienka miała zaledwie czas w bok odskoczyć. Zbudzone echa podziemne takim ozwały się grzmotem, iż Kasienka wylękła się, ażali kto nie przybiegnie zobaczyć co się stało. Atoli snadź na zewnątrz nikt hałasu nie usłyszał. Zaspokojona panującą zewsząd ciszą, dziewczynka przysunęła się do ciemnego otworu, który teraz wśród kamieni widniał. Zimny powiew uderzył ją chłodem podziemnym. Mimo to wielką miała ochotę zaraz puścić się dalej gdyby nie obawa, aby się ziemia i po tamtej stronie nie usunęła. Ograniczyła się tedy na rozszerzeniu otworu za pomocą ostrego kamienia, następnie zaś ustaliła ziemię klepiąc ją po trochu. Nareszcie zajrzała w otwór — gdy jednak gruba ciemność nic jej dojrzeć nic pozwoliły, rzuciła kamyk, który się odbił, jakby o skałę po drugiej stronie. Uspokojona i zadowolniona skutkiem swych usiłowań Kasienka na dziś dała pokój dalszej wyprawie. Chciała przed południem wrócić do Antki, aby jej podejrzeń nie obudzić. Otarłszy pot z czoła, otrząsnąwszy z sukienki gruzy i kurzawę, obiegła ruiny, i drugą stroną przypadła do Antki, która wydała okrzyk przestrachu i zdziwienia, gdy nagle uczuła na oczach ręce niedostrzeżonej przed tem towarzyszki, a śmiech obu dziewczynek zabrzmiał wesoło pod starem zamczyskiem.

XII.

Podzieliwszy swój obiad z Antką, której ustąpiła większą część skromnego posiłku, Kasienka nie wróciła już do zamczyska, ale położywszy się pod drzewem, jednym tchem aż do piątej przespała. Następnie, pobawiwszy się nieco z Antką, rozpętała konie, i dosiadłszy jednego z nich, nie tylko je do pójnika w strumyku zawiodła, ale jeszcze galopem różne wyprawiała harce, ku zdumieniu towarzyszki. Słońce już zachodziło.

— Wiesz co, — rzekła Kasienka, — mogłabyś bydło odprowadzić do zagrody wraz z twoją krową. Dziewka już

tam przed chatą czeka i do obory zapędzi. Ja zaś do nocy tu przy koniach zostanę, Antka usłuchała powolnie, i zabrała się do odejścia.

— A wrócisz tu jutro? — wołała za nią Kasienka.

— Niezawodnie. Zaledwie Antka zniknęła za drzewami, Kasienka pędem pobiegła ku kaplicy, podważyła drzwi na pozór zamknięte i wpadła do opustoszałego przybytku. Kaplica ta była bardzo uboga i zaniedbana. W głębi ołtarzyk z obrazem świętego Marcina, patrona wioski, na boku dwie ławki. Kasienka rzuciła się na kolana, a po gorącej modlitwie do świetego Marcina, skoczyła na ławkę, ztamtąd zaś na okno, zkąd mogła dobrze objąć ruiny zamku i nawet głąb fosy wiodącej do nory żebraka. Skuliwszy się jak najlepiej, wpatrywała się uważnie w jedną wciąż stronę. Nie długo zaś czekać jej przyszło. Zaledwie ostatnie promienie słońca widnokrąg purpurowym oblały blaskiem, aliści stary Niedola ukazał się na drodze. Kroki jego chwiejniejsze były niż kiedykolwiek, co świadczyło o obfitszym niż zwykle uczęstowaniu. Potykał się co chwilę, klnąc w żywe kamienie. Zaledwie zstąpił do fosy zamkowej, aby spocząć w własnem schronisku, aliści Kasienka zeskoczyła ze swego wyczekującego stanowiska, i cichaczem pełzając po trawie, posunęła się aż do otworu, którym dziad wrócił do siebie. Tam z leka podniósłszy głowę, doskonale widziała co się wewnątrz dzieje, albowiem żebrak zapalił sobie łojówkę i postawił ją na stole. Złożywszy sakwy na ziemi, teraz przysposabiał sobie wieczerzę; oglądając się na wszystkie strony, jakby w obawie, że ktoś norę jego nawiedził. Kasienka zauważyła, iż kroki jego były nierównie mniej chwiejne, aniżeli na dworze. Z twarzy znikł wyraz pijaństwa, przybierając owszem dziką już tylko ponurość. Zjadł powoli kawawałek chleba, oraz resztki mięsa, udzielone mu podczas żebraczej wycieczki, popił butelkę piwa, i przeszedł się po jaskini, jakoby dla wyprostowania nóg. Zbliżywszy się do otworu, wyjrzał nawet, ażali nikogo w pobliżu niema, co Kasienkę zniewoliło do cofnięcia się w gęste chwasty. Ruchy jej tak były ciche i zręczne, że dziad mógł je przypisać roją-

cym się pod wieczór w fosie królikom. Przekonawszy się, że sam zupełnie znajduje się w swem pustkowiu, dziad wrócił w głąb piwnicy, zdmuchnął światło, wszelako się nie położył. Słychać było ciężkie jego stąpanie w przeciwnym kierunku. Po chwili wszystko ucichło, i już po raz wtóry Kasienka straciła od razu Niedolę z oczu i uszu. Co się stało? co zajść mogło? Już dnia poprzedniego, tak samo próbowała go podglądnać, i tak samo jej zniknął, jakby się w ziemi był zapadł. Dla tego to przez dzień cały sama tak pilnie śledziła obie piwnice, szukając klucza zagadki. Przeszłym razem odczekała cierpliwie pół godziny, zaczem żebrak znów powrócił, z wnętrza ziemi czy zamku, i rzucił się był na posłanie, mrucząc szyderczym głosem wyrazy, których znaczenia nie pochwyciła. Tym razem jeszcze króciej czekać jej przyszło. Po upływie dwudziestu minut nowe stąpanie dało się słyszeć, tym razem tak pewne i miarowe, że nie były to chyba kroki starego Niedoli. Zamiast się rzucić na słomę, nowo przybyły kroczył ku otworowi i Kasienka skulnąwszy się pod murem, ujrzała przed sobą postać silnego mężczyzny, trzymającego w ręku maczugę na kształt laski, a którego twarz osłaniał szeroki, o rozwartych brzegach kapelusz. Człowiek ten, obejrzawszy się na wszystkie strony ostróżnie i podejrzliwie, przeszedł tak blisko dziewczynki, iż ją prawie musnął nogą. Zaczem wyszedł z fosy, i polną drożyną udał się w stronę czerniejącego z dala lasu. Upłynęło kilka minut, zanim dziewczynka odważyła się wyjść z ukrycia. Trzęsła się jak w febrze, bladość śmiertelna okrywała jej lica. W człowieku bowiem, który co dopiero obok niej przeszedł, mimo pomroku rozpoznała zabójcę Piotrowskich. Zwalczyła jednak chwilowo pomięszanie. Pobiegła na łączkę co tchu stało, rozpętała konie, a dosiadłszy jednego popędziła ku zagrodzie, gdzie oddawszy je w opiekę sługi folwarcznej, jeszcze się stawiła na godzinę wieczerzy u Jakóbowej. Od miesiąca żadna w domu wdowy nie zaszła była zmiana. W dwa dni po pożarze, Wawrzyn powrócił był w szeregi, a prośba o urlop, którą podał celem wyszukania mordercy Piotrowskich, dotąd uwzględniona nie została.

Zresztą ani Jakóbowa ani Maciej już żadnej nowej nie doznali przykrości. Ci, nawet, którzy w pierwszej chwili dali się omamić pozorem, teraz żałowali swego postępowania i radzi byliby dawne względem wdowy i jej synów zajęli stanowisko. Atoli Jakóbowa wolała trzymać się na uboczu, i niechętnie przyjmowała tłómaczenia i wymówki. Wszystko co było wybitniejsze w okolicy, zacząwszy od proboszcza i sędziów, poruszało wszelkie sprężyny, aby dojść do odkrycia właściwego mordercy. Mieszkańcy wioski popierali te usiłowania, i stary Niedola nieświadomie otoczony był ciągłym nadzorem. Miesiąc wszelako upływał, a nic sprawy nie wyjaśniło. Żandarm raz po raz zachodził do wdowy, poczciwie ją zapewniając, i że ostatecznie odkryje winowajcę, i że mu koledzy w tem poszukiwaniu dzielnie pomagają. Jakóbowa w Bogu złożyła swą nadzieję, Jego codziennie błagała, aby raczył obmyć jej syna z potwarzy nań niesprawiedliwie rzuconej. Atoli znać było, iż każda zwłoka boleśnie ją rani, włos jej pobielał, twarz się zmarszczyła, przybyło jej dziesięć lat przynajmniej od owej pamiętnej nocy, tak iż nawet Maciej i Kasienka nie mogli jej rozweselić ani rozerwać. Tego atoli wieczora wyglądała dziwnie ożywiona i pogodna. Kasienka odrazu zmiarkowała odmianę, ale o nic pytać nie śmiała, szukając tylko przyczyny tak pomyślnego zwrotu. Widok listu złożonego na stole obok książki do nabożeństwa odrazu jej wyjaśnił wszystko.

— Któż to pisał do was, matko? — spytała pieszczotliwie. — Nie zgadujesz, dziecko? — Wawrzyn! — zawołała Kasienka. — Któż ci to powiedział? — W tej chwili się domyśliłam patrząc na wasze rozpromienienie, matusiu. Ale cóż takiego napisał. — I to zgadnąć powinnaś. — Może urlop dostał? — Tak jest, i za trzy dni przybywa. Kasienka klasnęła w dłonie, ale po chwili zwiesiła główkę. — Byleby znów źli ludzie nie dokuczali! — Teraz jużby nie śmieli tego uczynić! — rzekła dumnie Jakóbowa. — Zresztą, jeśli mu dali urlop, muszą też być na śladzie mordercy, i użyją Wawrzyna, aby go wytropić. — Czy tak sądzicie? — ozwała się dziewczynka, dziwnym patrząc wzrokiem. C. d. n.